



# SYRENA

ROK XXIII  
PARYŻ—LONDYN

## ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

Nr 41/1109 (839) CZWARTEK, 10 października 1963

### ZYGMUNT NOWAKOWSKI

**P**OLACY nie wstydzą się patosu. Szafowanie wielkim słowem godzi się z powszechnym upodobaniem a o poczytności pisarza częściej stanowi dobór przymiotników niż oszczędność ich użycia. Nie jesteśmy społeczeństwem krytyków i nudzi nas analiza. Płaszcz wieszczą nakładamy na ramiona tych pisarzy, którzy pióro swe poddali bez zastrzeżeń dyktatowi serca.

Pisarzem serca był Zygmunt Nowakowski.

Powiedzieć o kimś że stał się „instytucją” zakrawa na sarkazm. Nie jest to sarkazm gdy myśli się o Nowakowskim. To znaczy o roli jaką odegrał w życiu polskim, zwłaszcza w dwudziestoczworoletnim okresie emigracyjnym. Był to szczytowy okres jego pracy. I okres szczytowego jego wpływu. Tylko niewielu pamięta o jego karierze aktorskiej w krakowskim Teatrze Słowackiego, o talentach reżyserskich, o osiągnięciach na stanowisku dyrektora tegoż Teatru Słowackiego. Częściej pamięta się o „Przyładku Dobrej Nadziei” lub o „Gałązce Rozmarnu”. Powieści i sztuka. Obie poddyktowane uczuciem i do uczucia przemawiające, obie popularne i surowo krytykowane. Lecz nazwisko Nowakowskiego łączy się przede wszystkim ze wspomnieniem tysięcy felietonów. W 1930 zadebiutował w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym”. Aż do wybuchu wojny pisał w nim co tydzień felieton niedzielny. Ma liczny i wierny zespół oddanych sobie czytelników; jest popularny. Ale podobnie jak pismo, którego jest współpracownikiem, reprezentuje specyficzną atmosferę Krakowa, ów zacięty patriotyzm lokalny, ów pomruk Wawelu obrażonego na Warszawę. Jest cięty i śmiały w tym co pisze, często zagniewany, jeszcze częściej podniecony a zawsze dowcipny. Jest dobrym felietonistą. Lecz nie jest jeszcze „instytucją”. Do tej rangi awansuje dopiero na emigracji, w warunkach materialnie i psychicznie ciężkich, często nieznośnych, przy słabym zdrowiu i w oderwaniu od wszystkiego co kochał, czym chciał oddychać i w czym do końca życia szukał natchnienia. Nie plany krakowskie i nie Zakopane — lecz Londyn. Ten Londyn, w którym jako redaktor „Wiadomości Polskich” narażał się i władzom brytyjskim i różnym ministrom w rządzie polskim, by po wojnie przewodniczyć na zebraniach ważnych i nieważnych, okraszać dowcipną swadą potok gadulstwa na akademiach, gwarzyć przy kolacji w „Ognisku”, biec przed mikrofon radiowy i przede wszystkim pisać, stukać w maszynę do pisania i ślepymi oczyma wypatrywać w wystukanych słowach widoku Polski rozciągającej się jak barwne sukno spod wzgórza wawelskiego.

To co widział i to co czuł, jak widział i jak czuł, przekazywał czytelnikom swych felietonów w „Dzienniku Polskim”. I nie w tym rzecz czy miał sąd trafny czy błędny, ani w tym czy kogo zachwycaly czy gniewaly jego styl i maniera. Rzecz w tym, że włączył się w obraz emigracji, tworzył jej klimat psychiczny i nastroje i pod wielu względami stał się jej symbolem.

Nie czas, nie miejsce i nie ochota wydawać sądy o symbolu. Nie piszę ocy pracy Nowakowskiego i nie piszę krytycznego studium o wartości upodobań kulturalnych polskiej emigracji politycznej. Stwierdzam tylko, że Zygmunt Nowakowski miał na nią wpływ ogromny. I myślę, że miał wpływ na kraj. Przemawiał do Kraju na falach radia Wolnej Europy. Cieszył się wzięciem. Pewno największym spośród wcale przeciętnej licznej grona współpracowników radia. Wielbiciel radiowych miał dlatego, że wkładał tyle uczucia w to co mówił. Tego tak „niemodnego”, czyli krótko mówiąc potępianego w obecnym układzie stosunków, uczucia.

Przez ostatnie dwadzieścia cztery lata swej kariery Nowakowski żył tylko uczuciem. Nie wypierał się tego i nie wstydził. Nie wstydził się ani patosu, ani czułości, ani fanatycznego uporu. Nie wstydził się ani poglądów ani uprzedzeń. Wystarczy przeczytać jego „Słowo wstępne” do „Lajkonika na Wygnaniu” by się o tym przekonać. Książkę, ten

(Dokończenie na str. 8)



### OTWARCIE II SESJI SOBORU WATYKAŃSKIEGO

Dzwony catego Rzymu obwieściły światu otwarcie drugiej sesji II Soboru Watykańskiego w chwili gdy Paweł VI rozpoczął swoje przemówienie. Było ono, jak sam Papież podkreślił, wstępem do Encykliki, którą „mamy nadzieję niebawem ogłosić”. Przemówienie objęło całość problemów ogólnoludzkich i ma dlatego znaczenie wielkiego programu.

Papież postawił przed Soborem program ujęty w cztery punkty: pojęcie i definicja Kościoła, konieczne reformy, „bracia od nas oddzieleni” i wreszcie dialog ze światem współczesnym.

Oddawszy hold należny pamięci i dziełu Jana XXIII Ojciec św. zatrzymał się przy pojęciu Kościoła i przypomniał wszystkie obrazy, jakich używa Pismo św. by nam udostępnić właściwą naturę Kościoła. Po dwudziestu wiekach istnienia istota Kościoła winna być określona w sposób autentyczny i precyzyjny: to będzie głównym tematem tej sesji Soboru powszechnego. W tej pracy Ojciec św. dopatruje się też klucza przyszłej jedności Kościoła.

Czyżby to miało znaczyć, że Ojciec św. oczekuje od Soboru pewnych uchwał teologicznych, które by mogły ułatwić spójnie kościelom reformowanym zbliżenie z nauką Kościoła rzymskiego? Co do prawosławnych wiadomo bowiem, że to, co ich od nas dzieli, sprowadza się raczej do elementów liturgicznych i instytucjonalnych.

Przypomniał, że władza papieska posiada tę pełnię, którą zawdzięcza swemu pochodzeniu od Chrystusa a Pana, Papież zwrócił się do Soboru o

wypracowanie norm, które by Mu zwoływały korzystać z pomocy i poparcia biskupów poprzez bardziej skuteczną i odpowiedzialną współpracę.

To oświadczenie napewno przyjęte będzie w swej całości z głęboką wdzięcznością przez wszystkich katolików, zdających sobie sprawę z doniosłości w dziejach Kościoła zespolenia władzy w rękach Biskupa rzymskiego.

Ogromnej sily przekonywującej jest gorący apel skierowany przez Ojca św. do „braci odłączonych”. Cechuje go równocześnie duża stanowczość i precyzja. Podstawy spotkania są ściśle określone: „nasza wiara nie może być przedmiotem żadnej polemiki”. Trzeba sobie nawzajem wszystko wybaczyć, jeżeli chodzi o przeszłość; pogłębienie wspólnej prawdy musi jednak doprowadzić do jedności. Problemy obiektywne są ciężkie i praca nad nimi wymagać będzie wiele czasu. Historyczne odrębności nie powinny stanowić trudności i będą zaakceptowane. Chodzi o zasadniczą jedność wiary i Kościoła. W obliczu niebezpieczeństwa, które zagrażają wspólnej cywilizacji, obowiązkiem jest solidarność tych, którzy należą do tej samej, wielkiej rodziny duchowej. Dialog Kościoła ze światem współczesnym wychodzi — stwierdza Paweł VI — z założenia ojcowskiego upomnienia a nie potępienia, bo „Sobór winien rzucić most ku współczesnemu światu”.

Ojciec św. ujmuje się mocno za „ościołem przesładowanym”: „Gdzie są nasi bracia z tych krajów, w których Kościół jest przesładowany”? Skarżąc się na „nietolerancję polityczną, rasową i antyreligijną” Papież wzywa

### „Każdy Polak — członkiem Skarbu Narodowego”

Takie obraliśmy hasło na 1963 rok. Październik jest miesiącem Skarbu Narodowego. Kto dotychczas nie poszedł za wezwaniem tego hasła, może to zrobić w październiku. Będzie to miesiąc zebrani publicznych i wzmożonej działalności Skarbu Narodowego.

Przez ofiarność na Skarb Narodowy i udział w jego pracach, każdy Polak może wnieść swój wkład w naszą akcję niepodległościową. Może zasilic fundusze, które służą do:

- podejmowania poczynań w obronie sprawy polskiej;
- prostowania fałszów o Polsce i przeciwdziałania propagandzie wrogiej interesom polskim;
- zapewnienia niezależnego głosu polskiego na konferencjach międzynarodowych;
- umożliwienia działalności placów-

kom dyplomatycznym w stolicach wolnego świata;

- wydawania jedynego pisma w języku angielskim o Polsce „Polish Affairs”;
- zasilania akcji kulturalnej, oświatowej, wychowawczej i opiekuńczej.

Są to cele bezsporne i na nie łoży Skarb Narodowy. Do zasilenia jego funduszy winien przyczynic się każdy Polak.

Niechaj naszym hasłem stanie się wezwanie:

„KAŻDY POLAK — CZŁONKIEM SKARBU NARODOWEGO”.

T. BÓR-KOMOROWSKI, gen. Przewodniczący Komisji Skarbu Narodowego na W. Brytanię

ANDRZEJ TOMICKI

### ZMIANA WARTY

**D**NIA 15-go października kanclerz Adenauer wystosuje do prezydenta Lübke'go list z podaniem się do dymisji. Zamknięty zostanie w ten sposób 14-letni okres jego rządów. Ostatnie lata stały pod znakiem walki, którą wytoczyła opozycja, domagając się jego ustąpienia. Wysuwano rozmaite argumenty — między innymi również wiek, który, jak twierdzili przeciwnicy, nie pozwala mu iść „z duchem czasu”. Kola lewicowe krytykowały ostro nieustępliwość Adenauera w stosunku do Rosji, powiadając, że utrudnia on w ten sposób zjednoczenie Niemiec. W ostatnim czasie w niektórych kołach powstał niepokój z powodu adenauerowskiej polityki zbliżenia się do Francji, zbyt ich zdaniem zaakcentowanej. Zważywszy „antyamerykańskie” i „antybrytyjskie” — twierdzono — stanowisko Generała de Gaulle, zbliżenie to musi wyrzucić niekorzystny wpływ na stosunki niemiecko-amerykańskie oraz niemiecko-brytyjskie. A na to Niemcy Zachodnie nie mogą sobie pozwolić.

Przez długie lata Adenauer kładł swoich przeciwników na obie łopatki. Mało kto mógł mu dorównać w umiejętności prowadzenia rozgrywek politycznych przy jednoczesnym zachowaniu i przestrzeganiu zasad demokratycznych i parlamentarnych. Dopiero pewne procesy we własnej partii — Chrześcijańskiej Demokracji — skłoniły go ostatecznie do ustąpienia. A może też ten niespożyty starzec, który do dzisiejszego dnia zachował świeżość umysłu oraz niezwykłą żywotność i energię, doszedł jednak do przekonania, że w wieku lat 87-miu (urodził się 5 stycznia 1876) siły mogą go mimo wszystko w pewnej chwili zawieść. Wolał się więc usunąć, póki czas, zachowując co prawda przywództwo swojej partii, co da mu zawsze możliwość wydatnego wpływania na bieg wypadków.

Właściwie jednak do ostatniej chwili nikt nie był stuprocentowo pewny, czy Adenauer rzeczywiście ustąpi. W istocie ustawa konstytucyjna zachodnio-niemiecka jest tego rodzaju, że gdyby chciał, mógłby jeszcze zostać. Na pożądanym przyjęciu prasy zagranicznej kanclerz stwierdził, że ustawa konstytucyjna („Grundgesetz”), nie zawiera żadnego przepisu, dotyczącego dobrowolnego ustąpienia kanclerza. „Ojcowie ustawy — powiedział — wraz ze mną nie mogli sobie wyobrazić, że jakiś szef rządu może dobrowolnie ustąpić!!!” I rzeczywiście, mało kto odchodził od władzy dobrowolnie. Co prawda było w tym wypadku trochę a raczej dużo „moralnego” przymusu.

Jak wiadomo, następcą Adenauera zostaje prof. Ludwik Erhard, który zapisał się w historii Niemiec powojennych jako twórca tak zwanego „niemieckiego cudu gospodarczego”. Czy Erhard okaże się takim samym dobrym politykiem jakim był wiodący

(Dokończenie na str. 4)

(Dokończenie na str. 4)

## fraszki

### DOŚWIADCZENIE UCZY, ALE NIE KAŻDEGO

Bardzo kiepskie zbiory w Sowietach? Jeżeli nie będziemy złośliwi, To możemy bardzo się dziwić, że Chruszczowa to jeszcze dziwi.

### PRAWDOMÓWNY

Przyślą jej miłość dozgonną, Wzdychając i ze łzą w oku. Słowa dotrzymał solennie: Miłość skonata w pół roku.

### TAKIE PROSTE!

Krytykami współczesnego malarstwa Można wiele zapelnic tomów; A tymczasem nie to ładne, co ładne, Ale co się podoba komu.

Rawicz

FR 2156



ZMIANA WARTY

(Dokończenie ze str. 1)

rzem gospodarczym? Kanclerz Adenauer, który go nie lubi — może dlatego, że wysuwany był zawsze jako jego następca — twierdził często w sposób czasem aż prawie obraźliwy, że Erhard nie ma żadnych zdolności politycznych. Ostatecznie zgodził się pod naciskiem swoich własnych kolegów partyjnych na wybór Erharda jako swojego następcy. Od tego czasu — świadczą to dobrze o Adenauerze — przestał się o nim ujemnie wyrażać i zaniechał walki. Rozwinęła się nawet między nimi tak bardzo się od siebie różniącymi ludźmi pewna współpraca, jak o tym świadczą zwłaszcza wizyta, którą Erhard złożył niedawno temu bawiającemu na urlopie w Cadenabbia kanclerzowi. Omawiano tam rozmaite sprawy polityczne. Adenauerowi najbardziej chodzi o to, żeby przekazać swojemu następcy jak najwięcej z tego, co uważa za swój trwały dorobek polityczny, niż o marne osobiste urazy.

Dzisiaj już w każdym razie wiadomo, że w nowym gabinecie Erharda dwaj głównie ludzie zważą na kierunku polityki Niemiec Zachodnich: kanclerz Ludwik Erhard i minister spraw zagranicznych Gerhard Schröder. Wprawdzie według ustawy konstytucyjnej o kierunku polityki rządu — a zwłaszcza też polityki zagranicznej — rozstrzyga kanclerz. Toteż

Adenauer w pełni z tego prawa korzystał, ale jest rzeczą prawdopodobną, że Erhard, nie czując się na tym polu zupełnie pewny, będzie znacznie bardziej polegał na swoim ministrze spraw zagranicznych, niż jego poprzednik. Kto więc dzisiaj pragnie sobie zdać sprawę z tego, jaka będzie ta polityka, musi przyjrzeć się obu tym ludziom.

\* \* \*

Ani jeden ani drugi nie są postaciami nieznanymi, dużo jednak więcej pisano i mówiono o Erhardzie, niż o Schröderze. Ten ostatni był przez 8 lat ministrem spraw wewnętrznych, zanim w listopadzie 1961 objął tekę ministra spraw zagranicznych. Wykazał w tym czasie bardzo dużo spokojnej i ostrożnej trzeźwości. Rozumiał dobrze, że należy te dwa lata kończącej się ery Adenauera wyzyskać raczej dla dokładnego rozeznania się w nowej dziedzinie i unikać niepotrzebnych starć z Adenauerem. Wie on poza tym, że pole dla gry politycznej na terenie międzynarodowym nie jest dla Niemiec na razie — a w każdym razie nie było dotychczas — zbyt szerokie. W dłuższym wywiadzie, udzielonym bezpośrednio przed objęciem swojego obecnego urzędu kierownicze działu zagranicznego znanego tygodnika „Die Zeit“, Marion Dönhoff (Numer z 17.XI.1961) Gerhard Schröder wypowiedział między innymi dwa zdania, które dosyć charakteryzują jego przyszłą politykę:

„Pole gry dla politycznego manewrowania jest bardzo małe i gdyby się je chciało rozszerzyć, na przykład — co niewątpliwie byłoby ważne — w stosunku do Polski, pojawiają się od razu dwie konsekwencje. Po pierwsze sprawa granicy wchodzi w stan ostry („wird akut“) a po drugie poświęca się to, co określa się na ogół jako doktryną Hallstein'a“.

A w dalszym ciągu mówiąc o Berlinie, oświadczył:

„Wszystko jest przeciw zagadnieniu pory („des Zeitpunktes“) i każdorazowej sytuacji“.

Przytoczone przez nas zdania wyrażają niewątpliwie punkt widzenia człowieka, który nie zamierza się upierać przy jakiegokolwiek doktrynie, ale liczy się ze skutkami każdego kroku i politykę swoją będzie prowadził w zależności od tego, na co pozwalać będzie jego zdaniem położenie faktyczne. Jest to stanowisko pragmatyczne człowieka niewątpliwie bardzo inteligentnego, z którym trzeba się będzie w przyszłości liczyć.

Widzi on dobrze wielkie osiągnięcia Adenauera i rozumie jego kon-

cepcję polityczną. Koncepcji tej jednak nie uważa za niezmienną i będzie ją na pewno przystosowywał do rzeczywistości takiej, jaką będzie widział własnymi oczyma. Jeżeli dotychczas tego nie czynił, jest to tylko dowodem jego trzeźwości. Wolął po prostu odczekać odejścia kanclerza. Z drugiej strony ci, którzy po odejściu Adenauera będą chcieli gwałtownie przerzucić ster polityki zagranicznej w inną stronę, mogą się również zawiesić. Wcale bowiem nie jest pewne, czy Schröder będzie tak samo jak oni patrzył na — „zagadnienie pory i każdorazowej sytuacji“!

Nie wydaje się więc, ażeby po odejściu Adenauera miała nastąpić jakaś gwałtowna i sensacyjna zmiana, chociaż jest rzeczą prawdopodobną, że zmienią się odcienie a nawet trochę kierunek. Jest w każdym razie rzeczą wiadomą, że prof. Erhard różnił się zawsze w zdaniu z Adenauerem, jeżeli chodzi o stosunek do U.S.A. i do Wielkiej Brytanii, a przez to również do Francji. W okresie E.W.G. doszło nawet między Adenauerem i Erhardem do nieprzyjemnego starcia. Nie ulega też wątpliwości, że Schröder ma na zagadnienie integracji Europy trochę inne poglądy, niż Adenauer, licząc bardziej z Waszyngtonem i Londynem. Czy jednak wobec bardzo mocno się zaznaczających tendencji Londynu do dogadania się z Moskwą i niektórych w tym kierunku rozważań Waszyngtonu w pewnej chwili również rząd Erhard-Schröder nie odczuje potrzeby odegrania r. l. hamulca w obawie, że zbliżenie Wschód-Zachód może się odbyć kosztem Niemiec? Czy też na odwrót zdecydowanie się w obliczu „nowej“ sytuacji na taki zwrot, którego pragną koła, zarzucające Adenauerowi nieruchomości i zapoznawanie nadchodzącego rozwoju?

Wszystko zależy od tego, co nowy rząd uzna jako — rzeczywistość. Na wspomnianym powyżej pożegnaniu przyjęciu prasy zagranicznej kanclerz Adenauer powiedział pod jej adresem (aczkolwiek myślał może więcej o niechętnym mu odłamie prasy niemieckiej):

„Jeżeli (prasa) krytykuje jakiś rząd albo jakąś politykę, powinna się zapytać, jak wygląda alternatywa“.

Otóż sprawa tej „alternatywy“ będzie, jak nam się wydaje, głównym zagadnieniem, przed którym stanie nowy rząd zachodnio-niemiecki.

Andrzej Tomicki

BRIDŻ

♠ 10 9 6 5 3 2					
♥ —					
♦ A K D 4					
♣ 9 7 2					
♠ 4	♠ W				
♥ 9 7 6 3	N	♥ AKW842			
♦ W 6 5 3	W	♥ 9 8 7			
♣ A D 10 8	S	♦ W 5 3			
♥ AKD87					
♦ D 10 5					
♠ 10 2					
♣ K 6 4					

E z początku spasował lecz później licytował kiery. Pomimo to SN wylicytowali szlemika w piki. W zaatakował 9-tką kier, z czego wynikało, że E ma AKW. Fakt że zrazu spasował świadczy, że nie ma asa trefla. To założenie pomogło do wygrania szlemika. Błędne założenie pozycji asa treflowego i lekkomyślne zagranie trefla ze stołu przegrałoby grę. S trzykrotnie przebił kiery na stole i zgrał wszystkie piki z ręki. Fakt, że W nie zrzucił ani jednego kara pozwalał wnosić, że liczy na lewą w tym kolorze. Trafnie zanalizował S puścił przeciwnika do samotnego asa treflowego i wygrał grę. Jak łatwo taką grę przegrać bez błędnej analizy.

Kazimierz Schleyen

Czytaj książkę polską

STANISŁAW PACZYŃSKI

NAD BRZEGAMI SEKWANY

BANKIETY POLITYCZNE

FRANCUSKIE bankiety polityczne mają swą długą tradycję, ale ich skutki w przeszłości były dość oplakane. Zapoczątkowane sto pięćnaście lat temu dla poparcia żądań reformy prawa wyborczego, szybko doprowadziły do prawdziwej katastrofy. Gdy na jednym z takich bankietów w 1847 r. w Mâcon Alfons de Lamartine, człowiek z natury raczej umiarkowany, dał się unieść potokowi swej wymowy i zapowiedział „rewolucję pogardy“, nie spodziewał się zapewne, że już wkrótce tłum paryski wyłamie się spod kierownictwa lewicowych przywódców, zaleje ulice stolicy, pójdzie na barykady. Nikt z ówczesnych biesiadników nie przypuszczał nawet, że przygotowuje rewolucję, która zmiecie monarchię lipcową, nikt się nie domyślał, że pracuje na przyspieszenie nadejścia okresu politycznego chaosu, terroru i strachu o własne życie. A jednak taki właśnie był wynik ówczesnych bankietów politycznych.

Mimo to — a może właśnie dlatego — dzisiejsza opozycja francuska, wyprana chemicznie z wszelkiej oryginalnej i śmiałej myśli politycznej, w takim smutnym okresie szuka natchnienia: organizuje bankiety polityczne. Pierwszy z nich odbył się niedawno, o następnych już się głośno mówi.

Nawiązywanie do bankietów sprzed 115 lat rzuca się po prostu w oczy. Nawet cyfry wyjściowe są bardzo podobne. Słynny bankiet w Chateau Rouge w Paryżu zgromadził 9 lipca 1847 r. 1.200 biesiadników; mniej więcej tyle samo polityków francuskich — parlamentarzystów, byłych ministrów, członków różnych rad samorządowych — zebrało się 15 września 1963 r. w Saint-Honoré-les-Bains. Następnym bankiet ma ponoć zgromadzić pięć tysięcy.

W 1847 r. domagano się reformy wyborczej, ostro krytykowano politykę rządu Guizota, zarzucono Ludwikowi-Filipowi „zdradę nadziei i pragnień wolnych narodów“, ale nie żądano od króla zrzeczenia się tronu. Odilon Barrot, Thiers, Carnot, Arago i Lamartine przydeszerze i szampanie rzucali śmiało myśli polityczne. A że się to wszystko skończyło tragicznie — to już inna sprawa.

Dzisiaj natomiast nikt nie mówi na bankiecie o innych narodach, nikt nie widzi niebezpieczeństwa wynikającego z imperializmu sowieckiego, nikt nie domaga się zjednoczenia politycznego Europy zachodniej. Jedynym „programem“ politycznym jest zmuszenie gen. de Gaulle'a do ustąpienia. Musi wreszcie odejść „monarcha anachroniczny, panujący prowizorycznie w tym kraju“. Tylko tego żądali uczestnicy bankietu, gdzie obok radykała siedział katolik, obok katolika socjalista. Wszyscy przyklaskiwali temu żądaniu. Najgłośniej naturalnie klaskali zaproszeni na bankiet komuniści.

Ale ten „monarcha anachroniczny“ w czasie swych objazdów południowych departamentów kraju oświadczył wyraźnie, że czuje się doskonale, że ma jeszcze wiele sił, że od 25 lat wie dokładnie czego chce naród i że wobec tego nie zamierza wypuścić z ręki władzy. Bankietami politycznymi nie przejmują się wcale. Bo, jak podkreśla François Mauriac w „Figaro Littéraire“, nie ma żadnej analogii między rokiem 1847 i 1963: „daleko jest od króla-obywatela do naszego prezydenta królewskiego, a jeszcze dalej od stylu Guizota do stylu Pompidou“. Stwierdziwszy ponadto, że Mitterrand, jeden z głównych organizatorów politycznego bankietu, w niczym nie przypomina Lamartine'a

(„nie można być mniej lamartinowskim niż ta postać z Komedii ludzkiej“), Mauriac woła z przerażeniem: „Do kaduka! Nie macie nikogo innego nam do zaproponowania oprócz Franciszka Mitterranda?“

Ten ostatni nie pozostał dłużny. W wywiadzie udzielonym prowincjonalnemu dziennikowi „Sud-Ouest“ zapowiada bliski koniec dzisiejszego reżimu: „Niezależnie od tego, czy e Gaulle będzie kandydował (na prezydenta Republiki — S.P.), czy nie — cele opozycji nie powinny ulec zmianie. Przeciwno „człowiekowi opatrncściowemu“ wystawimy francuską ekipę. Pewnego dnia — i wcześniej niż się sądzi — ta ekipa, która będzie się odznaczała trwałością, ciągłością i bezwzględnym oddaniem się dobru publicznemu — położy kres władzy, osobistej, skazanej fatalnie na nadymanie się aż do pęknięcia“.

Nieszczęśliwe jest, moim zdaniem, użycie tutaj terminu sportowego. Może on bowiem nasunąć opozycji raczej smutne refleksje: francuska ekipa piłki nożnej dostała ostatnio w skórę nawet od ekipy bułgarskiej.

Ale to tylko mimochodem. Nie o „ekipę“ zresztą w tej chwili chodzi, lecz o znalezienie jednak człowieka. Kto będzie kandydatem opozycji w przyszłych wyborach prezydenckich? Mitterrand? Mendès-France? Gaston Defferre? Guy Mollet? Jednym z celów bankietów politycznych jest znalezienie wspólnego kandydata. Takiego oczywiście, na którego oddadzą swe głosy również komuniści. Ta „ekipa“ bowiem, mimo swej „trwałości, ciągłości i bezwzględnego oddania się dobru publicznemu“ — bez poparcia komunistów nie ma żadnych szans.

Szanse jej są znikome nawet przy poparciu komunistów. Widmo nowego „frontu ludowego“, które wywołał Guy Mollet w czasie ostatnich wyborów parlamentarnych — wielu po prostu przeraża. Jego podróż do Moskwy, może przekonać komunistów, ale odstraszy niejednego wyborcę. Jak mł przed paru dniami powiedział pewien wybitny francuski socjalista, nawet najwięksi przeciwnicy gen. de Gaulle'a oddadzą na niego swe głosy — „pour barrer la route au front populaire, téléguidé de Moscou“.

Na sformowanie „ekipy“ i przygotowanie opinii publicznej do poknięcia komunistycznego haczyka potrzeba wiele czasu. Świetny taktyk, gen. de Gaulle tego czasu opozycji nie „a. I dlatego sądzę, że termin wyborów prezydenckich będzie wybitnie przyspieszony.

Z szumnych bankietów politycznych najprawdopodobniej nie wyjdzie na razie nic. Nie chcę jednak przez to powiedzieć, że perspektywy są różowe.

NOWY GMACH AMBASADY AMERYKAŃSKIEJ W WARSZAWIE

W dniu 17 września ambasador Stanów Zjednoczonych, John M. Cabot, przejął formalnie od władz budowlanych nowowzniesiony gmach ambasady amerykańskiej w Warszawie. Jest to — jak podkreśla prasa zachodnia — pierwsza siedziba Ambasady Stanów Zjednoczonych, zbudowana w kraju rządzonym przez komunistów. Koszta budowy, z wyjątkiem 450.000 dolarów, zostały pokryte w złotych, jako część należności Stanów Zjednoczonych za dostarczone Polsce produkty rolne.

Cechą charakterystyczną gmachu, którego koszt ogólny wyniósł 1.800.000 dolarów, jest 5-piętrowa fasada, ślniąca białym marmurem i aluminium. Wyróżnia się ona w szeregu gmachów i placówek dyplomatycznych, mieszczących się w Alejach Ujazdowskich. Ambasador J. M. Cabot przyjął symboliczny klucz od gmachu w czasie krótkiej uroczystości. (FEC)

**BILETY**  
KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE  
Formalności związane ze sprowadzaniem rodzin z Kraju oraz wizyty do Polski. Szybko. sprawnie, tanio załatwia

**TAZAB TRAVEL LTD**

273, Old Brompton Road, LONDON, S.W.5  
Tel. FRE 1186  
MANCHESTER 16  
47, Gt. Western St.  
Tel. Moss Side 4683  
BIRMINGHAM 2  
39 Corporation St. :: MID 1526

PÓŁKA KSIĘGARSKA  
(Dokończenie ze str. 2)

kulu i niemiennie partyjnemu historykowi, adiunktowi Instytutu Historycznego uniwersytetu warszawskiego dr Jerzemu Holzerowi, który o książce swoich konfratrów z PZPR tak pisze: „Zarys stał się największym skandalem wydawniczym w dziedzinie historiografii lat Polski Ludowej... Roi się w nim o błędów wielkich i małych... Jeśli na maturach i na egzaminach wstępnych do wyższych uczelni więcej będzie błędów, to ich to (tzn. autorów „Zarysu“) jest wyjątkowym okazem braku odpowiedzialności autorskiej, a zachwalanie jej przez recenzentów wyjątkowym okazem braku odpowiedzialności recenzentkiej“... Holzer ma na myśli „nierzetelną, dezinformującą, grzeźnościową recenzję Zarysu“ w miesięczniku „Mówią Wiek“, organie (słuchajcie!) „Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych“. Gdy Holzer przesłał czasopiśmie „Mówią wieki“ krytykę recenzji, otrzymał odpowiedź redakcji, ułożoną „po przeksultowaniu z dyrekcją Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych“, odmawiająca zamieszczenia krytyki, gdyż „publikowanie jej byłoby niewskazane ze względu na dydaktyczny charakter pisma i niewyrobionego czytelnika“ (tj. uczniów)...

Dodać jeszcze należy, że „Zarys“ przeznaczony jest również na eksport, dla okłamywania Polaków na obczyźnie oraz cudzoziemców (stąd wydania w obcych językach). Przynęte stanowię mają liczne ilustracje, częściowo również służące propagandzie komunistycznej.

Należy jak najbardziej przestrzec przed tą obrzydliwą publikacją, stanowiącą dalsze ogniwo „milenijnej“ propagandy partyjnej, którą zainaugurowała w różnych językach książka „Tysiąc lat historii Polski“ pp. A. Gięsztor, S. Herbsta i B. Leśnodorskiego, broniąca nawet przed kilku laty przez niektórych zdeorientowanych historyków na emigracji. S.M.

I

Z. K. JAGODZIŃSKI

## KTÓRE CYFRY MÓWIĄ PRAWDĘ O POLAKACH W ZSSR?

CO PEWIEN czas, w odstępie kilkuletnich, przy różnych okazjach pojawiają się na łamach prasy emigracyjnej coraz to nowe obliczenia i spekulacje na temat możliwej liczby naszych rodaków przebywających jeszcze w Związku Sowieckim. Ze zrozumiałych powodów tylko w ograniczonym stopniu mogą one opierać się na danych ścisłych i sprawdzalnych, przezwłaszcza zaś — jak to już zauważył dr. Zdzisław Stahl w swoim artykule p.t. „Inicjatywa EZN i obliczenia Polaków w Rosji“ w „Orle Białym“ z 8.8.1963 — trzeba z konieczności sięgać do wszelkich dostępnych, choć niedostatecznych źródeł, by w ten sposób dojść przynajmniej do liczb przybliżonych. Ale już sam fakt, że problem repatriacji regularnie raz po raz powraca, świadczy o potrzebie poświęcenia mu stałej i czujnej uwagi. A ponieważ istotnie „dotychczasowe starania ze strony emigracji nie były bezowocne“ w tym względzie, można oczekiwać, że i w przyszłości dadzą one wyniki, jeżeli tylko będą prowadzone wytrwale i uporczywie.

Nowa inicjatywa w tym kierunku, zapoczątkowana artykułem „O powrót Polaków z Rosji“, ogłoszona w „Orle Białym“ z 25.7.63 zasługuje na jak największe poparcie i zrozumienie emigracji. Niezależnie jednak od działania praktycznego należy także zastanowić się nad danymi, stanowiącymi podstawę wspomnianego artykułu. Dr. Z. Stahl zwrócił już słusznie uwagę na rozmaite braki i opuszczenia, które zakradły się do tej ponownej próby statystycznego obliczenia Polaków dotąd przebywających na terenie ZSSR; chodzi mu jednak głównie o to, że w komunikacie EZN zatarta została różnica pomiędzy właściwymi repatriantami, pracującymi z niewoli sowieckiej a przesiedleńcami ze wschodniej Polski. Tym samym uwypukla on podział Polaków za kordonem granicznym a mieszkańców ziem utraconych w 1939 r. oraz na deportowanych z Polski na inne, dalekie obszary państwa Sowietów. Akcja obecna, jak się wydaje, ma się odnosić przede wszystkim do tych drugich, celem jej ma być spowodowanie uwolnienia tych wszystkich, którzy od lat przebywają w miejscach odosobnienia, więzieniach, obozach pracy i na zesłaniu w głąbi ZSSR.

### PODZIAŁ POLAKÓW W ZWIĄZKU SOWIECKIM

Wypada oczywiście zgodzić się bez zastrzeżeń, że w pierwszym rzędzie należy wolać o sprawiedliwość dla tych, których los najczęściej doświadczył i że najpierw trzeba się zająć kwestią więzionych i deportowanych. Tym niemniej rodzi się przytem wiele innych pytań, które również wymagać będą wyjaśnienia i odpowiedzi. A więc — czy cyfry istotnie mówią prawdę o Polakach w Rosji? czy słuszny jest podział ich tylko na dwie wyżej wspomniane kategorie? czy prawo do repatriacji ma być ograniczone jedynie do niektórych spośród nich?

Łatwiej jest oczywiście ustalić choćby w przybliżeniu prawdopodob-

ność globalną liczbę Polaków, którzy powinni znajdować się obecnie w Związku Sowieckim, aniżeli ująć cyfrowo tych co wywiezieni na wschód, wciąż jeszcze vegetują, tam zatrzymywani siłą i przynusem. Dla zagadnienia pierwszego istnieją, przynajmniej pewne opublikowane, choć niedoskonałe materiały, przy drugim natomiast uciekać się już wypada do porównań, domysłów i bardziej skomplikowanych dociekań, nieraz wręcz całkiem problematycznych.

Obie tabele w artykule z 25 lipca powołują się na dane statystyczne „at their face value“ tj. zakładając ich prawdziwość; tak więc tab. I wyszczególnia wszystkich Polaków, którzy po roku 1939 znajdowali się pod rządami sowieckimi, tab. II natomiast podsumowuje cyfry, pozwalające zorientować się ilu ich z bezpośredniego zasięgu tych rządów zdołało się wydostać. Co prawda oba te wykazy zdają się zawierać szereg poważnych nieraz nieścisłości, które należałoby przedyskutować. Zanim jednak do tego przystąpimy, warto zanotować, że możliwy jest jeszcze innego rodzaju podział Polaków w Rosji a mianowicie według ich dawnej przynależności państwowej. Otrzymałobyśmy wtedy następujące trzy kategorie:

- 1) Polacy obywatele sowiecy sprzed wojny,
- 2) Polacy obywatele polscy zamieszkujący Ziemię Wschodnią bądź więzieni i deportowani gdzie indziej,
- 3) Polacy obywatele państw innych, również deportowani włączając Rosję lub przebywający na zagarniętych przez nią obszarach.

(Możnaby też wspomnieć osobną kategorię naszych współobywateli odrębnej narodowości, choćby dlatego, że wielu z nich łączyły z Polakami węzły pokrewieństwa i wspólnej kultury, ale rozumieli, iż w obecnym układzie stosunków akcją tu organizowaną nie mogą oni być objęci).

Powyzsze rozróżnienie będzie znamienne i z tego względu, że akcja repatriacyjna zdaje się ograniczać tylko do kategorii drugiej i tak jest też pojmowana w założeniu omawianego tu artykułu czy komunikatu. A przecież mamy i moralne prawo i wielki obowiązek wolać o uwolnienie, o poprawę losu i o zaprzestanie ucisku całej mniejszości polskiej w Sowietach. Dlatego sądzę, że jest rzeczą jak najbardziej konieczną podkreślenie, że prawo do repatriacji z Rosji uzyskać powinni wszyscy wywiezieni tam Polacy, nawet jeżeli kiedyś zamieszkiwali terytoria państw ościennych. Po wtóre zaś — jeśli, jak to głoszą oficjalne oświadczenia, Kraj stoi otworem dla powrotu emigrantów ze skupisk polonijnych na Zachodzie, powinien on również stać otworem dla dawnej Polonii Sowieckiej, najbardziej przecież ze wszystkich upośledzonej i znękaniej, a od dziesiątków lat zupełnie odciętej od ojczyzny, od źródeł polskości i od kultury naro-

dowej. Sprawa zesłańców wymaga niewątpliwie pierwszeństwa, ale zawsze przytem trzeba pamiętać o losie wszystkich Polaków w ZSSR.

### CYFRY I POPRAWKI

Czy przytoczone w artykule (rozumiemy się z 25.7. br. pochodzącym od Egz. Zj. Nar.) dane mogą istotnie być uznane za odpowiadające, czy choćby najbliższe rzeczywistego stanu rzeczy? Przede wszystkim są one głównie cytowane na podstawie dawniejszych opracowań, a więc te same zawierają braki i takie same powtarzają błędy. Zadziwia przytem fakt powoływania się na źródła obce, a lekceważenia jednocześnie własnych — czyżby rzeczywiście obca statystyka, zwykle niechętna nam, zasługiwała na większe zaufanie? Mnożą się ostatnio rozmaite publikacje, których dążeniem jest wykazanie jak bardzo znikomą była przed wojną liczba Polaków we wschodniej Polsce. Nasza publicystyka nie tylko, że im nie przeciwdziała, ale w pewnym sensie jakby im nawet dopomaga swoim przesadnie oszczędnym przedstawianiem siły tamtejszego elementu polskiego.

Wszystkie kolejne pozycje omawiające poszczególne kategorie Polaków w ZSSR wymagają poważnego skorygowania. Potrzebne jest ono zwłaszcza, gdy mowa o dwóch największych grupach: mniejszości przedwojennej i mieszkańcach ziem wsch. Z oficjalnych sowieckich spisów ludnościowych wynika fakt nieustannego kurczenia się stanu dawnej mniejszości polskiej w Zw. Sowieckim. Nie wchodząc bliżej w to jak dalece proces ten był naprawdę posunięty i jakie były tego przyczyny, można wszelako zaryzykować twierdzenie, że musiały niewątpliwie zajść liczne wypadki zatajenia narodowości polskiej na skutek zastraszenia, oportunistycznego czy zwykłego po prostu instynktu samozachowawczego, a także dzięki urzędowej polityce, specyficznej klasyfikacji spisowanych itp.

Otóż jeśli nawet spotykane niekiedy twierdzenie o 3 i więcej milionach Polaków pozostałych niegdyś za granicą ryzyka przedstawia się teraz zbyt optymistycznie, to przecież pozycja 627 tys. wykazana za spisem sow. z r. 1939 brzmi z pewnością zbyt nisko. Należałoby raczej powołać się na liczbę 1.500.000 podaną przez dr. Wiktora Ormickiego w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej „Gutenberga“ (Kraków 1931), t. XIII, s. 329, zwłaszcza, że pojawia się ona i w innych omówieniach. Co prawda może ona stanowić raczej tylko punkt wyjściowy, od którego wypadnie odjąć, jako smutne świadectwo martyrologii narodowej, nieznanne lecz na pewno wielkie straty, wywołane masowymi przesiedleniami i aresztowaniami, katogą w łagrach, likwidacjami Kościoła i kleru katolickiego, zamknięciem szkół, wielkim głodem na Ukrainie i w ogóle prześladowaniami na skalę nie ustępującą carskim po rozbiorach oraz nieuchronnym w tych warunkach procesem wynaradawiania się — ale trudno mimo wszystko przyjąć, że wytrzebiecie elementu polskiego spowodowało ubytek aż 3/5 jego stanu w przeciągu kilku lat (a 1/5 według sow. spisów z 1926 i 1939).

Duża część spośród setek tysięcy Polaków zamieszkałych na Ukrainie i wysiedlonych ze swoich siedzib w latach 1936-38 została przewieziona właśnie do Kazachstanu, można więc stwierdzić z całą pewnością, że pogląd wyrażony w artykule jakoby dawniej Polaków tam nie było nie jest poparty znajomością faktycznego stanu rzeczy.

Podobny znak zapytania rysuje się przy cytowanych w komunikacie danych statystyki litewskiej i lotewskiej, przyjmującej na rok 1939 liczbę 202.000 Polaków na Litwie i 60.000 na Łotwie. Dla porównania przytoczę odnośne cyfry ze wspomnianej już encyklopedii „Gutenberga“ — wyniosły one w r. 1931: 240—250.000 i 81—83.000. Niezrozumiałe jest poza tym całkowite pominięcie Polaków w Rumunii, zamieszkałych na Bukowinie i w Besarabii, a więc na terenach przyłączonych do ZSSR w 1940 r., skąd również miały miejsce deportacje ludności. Ilość tamtejszych Polaków obliczono w 1931 r. na 46—57.000 a przed wybuchem wojny na 75—80.000. Pozostaje wszakże do zbadania ilu z nich wywieziono do Rosji a ilu repatriowano po wojnie do kraju.

Jeszcze większe — niż powyższe wątpliwości — zdziwienie musi budzić liczba 4.300.000 Polaków zamieszkujących jakoby w 1939 r. „między tzw. linią Curzona i granicą ustaloną traktatem ryskim“, liczba właściwie nawet mniejsza, gdyż włączono do niej także i „tych, którzy szukali tam schronienia przed okupacją niemiecką“. Przecież jednak sytuacja nie była aż tak statyczna w następnym dziesięcioleciu, żeby poprzestawać na spisie z 1931. Według urzędowego źródła polskiego, ogłoszonego w Londynie w 1941 r. („Concise Statistical Year Book of Poland“) w sierpniu 1939 na obszarze państwa zagarniętym przez Związek Sowiecki zamieszkiwało 5.272.000 ludności o języku rodzinnym polskim. (Ciekawe, że na rocznik ten powołuje się tylko jeden z autorów publikacji zajmujących się zagadnieniem, mianowicie prof. Wł. Wielhorski w opr. „Los Polaków w niewoli sowieckiej, 1939—1956“). I chyba dopiero do tej cyfry trzeba by dodać uciekinierów przed nawałą niemiecką z innych dzielnic Polski; jednocześnie jednak należałoby odjąć tych mieszkańców Ziem Wschodnich, którzy dostali się do niewoli niemieckiej, przeszli na teren okupacji niemieckiej (General Gouvernement) bądź uszli z kraju poprzez granicę rumuńską i węgierską lub inną drogą. Poza tym zarówno jeńcy-żołnierze

przewiezieni do Zw. Sowieckiego bezpośrednio z Polski (181.000) jak i później z internowania w krajach bałtyckich (12.000) także w jakiejś części składali się z mieszkańców naszych ziem kresowych. Obie te pozycje (oznaczone pkt. 2 i 3) mogą być więc brane pod uwagę tylko gdy mowa o deportowanych w ogóle, gdy zaś idzie o całość Polaków w ZSSR należy uwzględnić jedynie jeńców pochodzących z terenów położonych na zachód od tzw. linii Curzona. To samo dotyczy i pkt. 7 tj. 50.000 żołnierzy A.K. wywiezionych włąb Rosji — liczą się wszyscy jako „deportowani“, ale w wypadku obliczania całej ludności polskiej pod rządami rosyjskimi trzeba by znowu odjąć tych spośród nich, którzy przypadają na pkt. 6 (Polacy z ziem wschodnich) tzn. 30.000, gdyż podana w art. liczba 20.000 odnosi się zapewne do mieszkających na zachód (nie na wschód) od linii Curzona.

Na koniec wreszcie trzeba też wspomnieć o innych jeszcze — zwykle przeoczanych — kategoriach Polaków dotkniętych wywózkami sowieckimi, zwłaszcza z końcem wojny i po jej zakończeniu. Są to:

- 1) osoby cywilne, aresztowane i wywiezione do łagrów przez organy sowieckiej służby bezpieczeństwa i wywiadu wojskowego oraz wydane tymże (przed rokiem 1955) przez bezpiekę,
- 2) Polacy-autochtoni z Ziemi Odzyskanych,
- 3) Polacy jeńcy z armii niemieckiej wzięci do niewoli na froncie wschodnim,
- 4) Polacy przymusowo wcieleni do organizacji Todta, którzy następnie dostali się w ręce rosyjskie.

Pewna część z obydwu ostatnich grup mogła być przekazana do formacji Berlinga, ale takich prawdopodobnie nie było zbyt wielu. A przecież ilość Polaków zapędzonych do wojska niemieckiego i czekających tylko sposobności, by się z niego wyrwać sła w tysiące jak o tym świadczy przykład frontu zachodniego i południowego, włoskiego, gdzie uzupełniali szeregi naszego II Korpusu; że nie brakowało ich i na froncie wschodnim dowodzą wzmianki w różnych publikacjach krajowych.

(Dokończenie nastąpi)

## II SESJA SOBORU WATYKAŃSKIEGO...

(Dokończenie ze str. 1)

Kościół żywi najwyższy szacunek. prasa komunistyczna rzuciła się na te ustępy mowy Pawła VI, w których wyraził żal z powodu prześladowania Kościoła „w pewnych krajach“, oraz na te w których znalazło się potępienie ateizmu. Oczywiście komuniści biorą zarzuty skierowane przeciw ateizmowi do siebie! A poza tym nie mogą znieść pozycji w jakiej znalazł się, ich zdaniem, u Ojca św. katolicyzm w stosunku do innych „ideologii“.

Oto co pisze na ten temat rzymska „Unità“: „Dialog ze światem współczesnym ma, według Papieża, odbywać się w formach, które zakładają wyższość duchową katolicyzmu, zamiast klasycznie naciskać na wspólne podstawy spotkania z innymi siłami“.

Wreszcie, zdaniem tejże „Unità“, za mało mówił Papież w swojej homalii o pokoju.

Ojciec św. zakończył swoją przemowę kilkoma zdaniem wygłoszonymi w języku greckim i starosłowiańskim. Był to niewątpliwie gest w stronę obywateli prawosławnych.

Prasa komunistyczna przyjęła to orędzie krytycznie i wrogo. Zarzuca mu wbrew wszelkiej oczywistości, że „pacyfizm i potępienie zastąpiły zaufanie do świata współczesnego, tak mocno podkreślane przez Jana XXIII“. Choć w całym orędziu Papieża nie spotykamy słowa „komunizm“ — a może właśnie dlatego —

LWÓW

1782

WIEDEŃ

### J. A. BACZEWSKI

GATUNKOWE WÓDKI i LIKIERY  
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI!

Jarzębiak	Malinowa	Tea-Rum
Kontuszówka	Starka	Wiśniówka
Krupnik	Perła	Żubrówka

PRZEDSTAWICIEL J. A. BRUCE &amp; CO.

9, Lenthall Place, London, S. W. 7. Tel. FRE 5808

(Koło stacji kol. podz. Gloucester Road)



SZYBKO i TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,  
druki jedno- i wielobarwne  
wykonuje  
ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,  
LONDON, S. W. 11.  
Telefon: BAT 0879





Osoby pobożne zamieszkałe w pobliżu granic rosyjskiej i austriackiej najwyczajniej przekraczając granicę mogą cieszyć się podwójnym obchodzeniem świąt kościelnych, jak i ja sam mimo woli obchodziłem w ciągu dwóch tygodni dwa razy święto Wniebowstąpienia. Prawosławna Wielkanoc przypadła w tym roku na tydzień później od naszej, to znaczy w dniu 12 kwietnia, gdy łacińska była 5 kwietnia. I podczas gdy nasze Zielone Święta wypadły 24 maja, greckie obchodzone 31 maja zgodnie z obliczeniem nowego stylu.

Katedra św. Zofii pochodzi z XIII wieku i przed ustąpieniem miasta i okręgu Kijowa Rosji, mniej więcej do końca XVII wieku, nabożeństwa odbywały się tu według liturgii grecko-unickiej. Nazwa ta służy do odróżnienia od obrządku schizmatycznego, czyli grecko-prawosławnego, gdyż kościół unicki zjednoczył się z łacińskim, przyjmując ustępstwa zaofiarowane prawosławny przez papieża na soborze florenckim. Koncesje te zezwoliły unitom odprawić Mszę w języku starosłowiańskim, ich kapłanem zawierać małżeństwa oraz udzielać Komunii św. wiernym pod dwiema postaciami. W zamian za tak znaczne złączenie przez papieża surowego rzymskiego reżymu na korzyść prawosławnych, biskupi greccy prawie jednomyślnie zdecydowali uznać łaciński obrządek o podwójnym pochodzeniu Ducha Świętego — od Ojca i Syna.

Wnętrze katedry nie jest wcale mniej wspaniałe od jej zewnętrznego kształtu. W ciągu paru ostatnich lat odkryto zapomniane od pięciu lub sześciu wieków pod grubą, jeszcze niezupełnie usuniętą warstwą gipsowych tynków interesujące freski. Pod względem artystycznym, niektóre z nich posiadają wielką wartość. Wydaje się że farby, którymi je malowano i które zachowały świeżość fresków pompejańskich, kładzione były bardzo grubo. Nie mam odwagi określić narodowości ich twórców, ale styl niektórych fragmentów przypomina mi rysunki na grobach i wazach etruskich. W jednym z segmentów dwóch kanciasto malowanych męczczyzn z głowami wilków lub dzików, toczy śmiertelną walkę przy pomocy dzidy oraz łuku i strzał. Inny fragment przedstawia podobnie kanciastych męczczyzn, jadących na drewnianych jak gdyby koniach bez siodła i uźdźgienic. Zwróciłem szczególną uwagę także na inny, bardziej nowoczesny fresk przedstawiający cztery dziewczę namalowane w coraz to mniejszej skali — począwszy od św. Zofii, poprzez postać przedstawiającą św. Wiare, św. Nadzieję aż do św. Miłosierdzia. Św. Zofia jest wysoką dziewczicą z zapaloną świecą w ręku, św. Wiara, o głowę niższą, także trzyma, mniejszą co prawda, świecę. Św. Nadzieję namalowano o głowę niższą od Wiary i nie dano jej żadnego światła, jak pozbawiona jest go także jej mała siostra Miłosierdzia — o trzy głowy niższą od św. Zofii. Jaskrawa sprzeczność dobrze znanego porządku, w jakim św. Paweł ustawił te trzy cnoty, wydała mi się bardzo charakterystyczna.

W czasie nabożeństwa katedra wypełniona była nieokrzesanym chłopstwem obojga płci w siermiągach i butach z cholewami, przy czym kobiety można było rozróżnić od męczczyzn tylko dzięki białym, czerwonym i czarnym chustom obwiązanych na głowach na kształt turbanów. Nadmiar wiernych w świątyni utrudniał odprawianie modłów przyzwoicie i po porządku. Bo obrządek prawosławny wymaga ciągłego klęczenia i uderzania czołem o posadzki kościoła. Nie jest to łatwe w gęstym tłumie i wymaga wielkiej wprawy, gdy chodzi o utrzymanie tempa: najstraszliwsze konsekwencje mogą wynikać z niezgrabności jednego wiernego, który może wytrącić z równowagi cały ich długi szereg. Tuż koło mnie znalazła się jakaś matka z synem — chłopcem mniej więcej

W. H. Bullock

## DOŚWIADCZENIA POLSKIE W CZASIE POWSTANIA 1863-4

(LONDON & CAMBRIDGE, MACMILLAN & Co. 1864)

Przełożył Janusz Jasieńczyk

dziesięcioletnim. Biedny chłopak nie zupełnie dorastał do swego zadania: zachodziła potrzeba bardzo częstych interwencji matki, która bynajmniej ich nie skąpiła, popychając wyrostka co chwila i zmuszając go do bicia pokłonów. W końcu wprawiła swego nieszczęsnego potomka w taki szal, że prześcignął w zapale najgorliwszych dewotów modlących się w okolo.

Każdy z chłopów i każda z chłopek wręczała kapłanowi małe bochenki chleba do pobłogosławienia. Ten dokonywał na nich trójkątnego nacięcia przy pomocy czegoś w rodzaju srebrnego ostrza od dzidy, osadzonego w gardzie z trzema gwiazdami. W ten sposób powstawał na bochenku trwały ślad gwiazdzistego trójkąta. Oddając chleb właścicielowi pop zapewniał go, że w razie choroby wystarczy spożyć kęs sakralnego pieczywa, by natychmiast ozdrowieć.

Półkoliste sklepienie absydy wschodniej katedry wypełnia olbrzymia mozaika, przedstawiająca Madonnę. Pochodzi ona z XIV lub XV wieku. Polacy kijowscy nie są w stanie udzielić informacji o starych zabytkach miejscowych ani o obrządkach kościoła prawosławnego, a jedyny przewodnik, który można nabyć, wydrukowany jest po rosyjsku i wobec tego dla mnie niezrozumiały. Martwiło mnie to niezmiernie w tym mieście obfitującym w ciekawe zabytki najrozmaitszych rodzajów.

Pewnego ranka byłem świadkiem ciekawego, lecz smutnego widowiska, mianowicie przybycia do miasta z Radomyśla kolumny powstańców-jeńców. Z wszystkich stron zbiegli się ludzie na miejsce, gdzie jeńców oczekiwano, gdy wybrałem sobie dobre stanowisko, by móc ich dobrze obejrzeć.

Nie czekaliśmy długo. Chmura pyłu zapowiedziała kolumnę i wkrótce mogliśmy już rozpoznać pierwszych żołnierzy, stanowiących — w liczbie 200 — eskortę. Powstańcy, powiązani linami wokół ramion i w pasie, maszerowali dwójkami i trójkami, otoczeni podwójną linią żołnierzy z nabitymi muszkietami i z nastawionymi bagnietami. Co mnie najwięcej zaskoczyło, to wybitnie pogodna postawa jeńców. Gdyby nie krepujące ich więzy, można by pomyśleć, że powracają z jakiejś przyjemnej ekspedycji. Niektórzy nawet palili i muszę oddać sprawiedliwość rosyjskim oficerom i żołnierzom, że w mojej obecności nie czynili niczego, co by mogło w jakiś sposób pogorszyć sytuację jeńców.

Szczególną moją uwagę ściągnął na siebie jeden powstaniec nazwiskiem Olszański, który maszerował z bardzo zawadiacką miną i palił papierosa. Poprzednio był on instruktorem jazdy konnej, co bardzo mu ułatwiło stworzenie partii kawaleryjskiej, na której czele opuścił Kijów nocą 8-go maja. Nie bacząc na żonę i sześcioro małych

27) dzieci, które miał na wyłącznym utrzymaniu, porzucił swoje zajęcie i ohotnie przyjął zaofiarowane mu dowództwo. W dzień po jego wyruszeniu przyszło na świat siódme dziecko, a żona znalazła się w pożałowania godnej sytuacji. Stracono go w styczniu ub. roku.

Zanim zakończę temat Kijowa muszę wspomnieć o katakumbach, zawierających szczątki wielu setek świętych. Z Ławry, położonej w obrębie cytadeli, schodzi się w dół — krytym pochyłym przejściem długości około 500 stóp — do kościoła, w którym znajduje się wejście do katakumb. W tym przejściu obok siebie znajdują się wszystkie strony ślepi, chromi, kulawi — słowem wszelkiego rodzaju najpotworniejsze kaleki — ludzie bez nóg, bez ramion, nosów, uszu, krótko mówiąc okaleczone ciała, z których pozostało tylko tyle, ile jest niezbędnie potrzebne do utrzymania w człowieku iskielki życia. Przebiegłszy między długim na 200 stóp szpalerem tych straszliwych postaci, znajdziesz się we wspomnianym kościele, gdzie trzeba kupić od popa świeczkę, która oświetli drogę poprzez labirynt katakumb. Pielgrzymów klasyfikuje się w zależności od ceny kupionej świecy. Można je kupować po 1 pensie za sztukę i wyżej aż do szylinga i naprawdę warto wydać całego szylinga.

Wielobarwny tłum pielgrzymów z najdalszych zakątków Rosji tłoczy się w całej Ławrze, a w szczególności u wejścia do owych katakumb. Wchodzi się tam poprzez wąski portal, po czym człowiek znajduje się w korytarzu wykutym w skałę, wysokim na 6 stóp i na tyle szerokim, że mogą się w nim zmieścić dwie osoby — zmieścić, ale nie posuwać się razem obok siebie. Idzie się tym korytarzem raz w dół to znowu w górę, a jest on kręty i długi na paręset jardów. Dopiero przebywszy to podziemne przejście dociera się do właściwych grobów świętych. Zza tajemniczych krat po obu stronach korytarza wpadają w ucho dźwięki muzyki, lecz oko nie jest w stanie rozpoznać źródła ich pochodzenia, chyba że od czasu do czasu światło świecy ośłoni pielgrzymowi popa śpiewającego Mszę w jakiejś podziemnej kaplicy.

Podchodząc do trumny każdego świętego — a ciała ich spoczywają tam zabalsamowane i nakryte całunami — każdy pielgrzym składa pocałunek na jego piersi lub czole i rusza do następnego. Powiadają, że katakumby te ciągną się na olbrzymiej przestrzeni sięgając aż pod Dniepr. Jednakże mieszkańcy tak mało interesują się szczegółami, a popi są tak ciemni, że nie zdołałem w tym przedmiocie uzyskać dokładnych informacji. Na każde pytanie w sprawie dotyczącej bądź to daty powstania Ławry, bądź też czasu odkrycia katakumb, otrzymywałem zawsze jednakoową odpowiedź: „Tylko Pan Bóg wie jak są stare“. A ignorancję popów można porównać tylko z ich niemoralnością.

Nie można zaprzeczyć, że według wszelkich pozorów, Kijów jest miastem całkowicie rosyjskim. Mimo to jednak od chwili stworzenia tam po rewolucji roku 1831 uniwersytetu, liczba polskich mieszkańców stale wzrasta i obecnie studenci Kijowa stali się najkłopotliwszą zbiorowością, z jaką borykać się musi rząd w prowincjach rosyjskich. Zamykając polski Uniwersytet Wileński i kolegium w Krzemieńcu na Wołyniu oraz budując na ich ruinach uniwersytet w Kijowie rząd zamierzał zadać ciężki cios Polakom. Wynik zawiódł jednak oczekiwania. Uniwersytet kijowski jest rosyjskim tylko z imienia. Co najmniej cztery piąte studentów stanowią Polacy i języka rosyjskiego prawie nie słyszą poza salami wykładowymi.

(Dalszy ciąg nastąpi)

### NAGRODOMANIA

Londyński tygodnik „Gazeta Niedzielną” przynosi w numerze z dnia 29 września br. słuszną notatkę pióra S. L. na temat szerczącej się na emigracji nagrodomanii. Nigdy w dziejach literatury polskiej na przestrzeni całego tysiąclecia nie było tylu wyróżnionych, nagradzanych i odznaczonych (banknotami) pisarzy jak właśnie po tej wojnie, a zwłaszcza w ostatnim piętnastolecu. Latwiej powieścić kto jeszcze nie otrzymał nagrody niż wymienić tych, którzy chodzą w aureoli geniusza. Byłoby chyba rozsądniej wszystkie nagrody zebrać do jednego garnca i tą wspólną nagrodą wyróżnić raz na 5 lat naprawdę wybitnego pisarza.

A następnie: nie w tym rzecz, by „pamiętać o innych” — jak pisze p. S. L. a więc o tych, którzy jeszcze żadnej nagrody nie otrzymali. Widocznie nie zasługują, tak jak mogą być tacy, którzy „asłużyli na ponowne wyróżnienie. Fakt jest, że nad literackimi konkursami z nagrodami nie panuje ani Związek Pisarzy ani Związek Dziennikarzy R.P. I druga uwaga: w gruncie rzeczy nagrody pieniężne są tak niskie, że wątpić należy czy ratują one kogokolwiek w ciężkiej sytuacji materialnej. Już nie mówiąc o tym, że nagrody są w pierwszym rzędzie skromnym wyróżnieniem za talent a nie jałmużną dla ubogiego literata. A może by p. S. L. opracował sam listę tych, którzy w latach 1940—1963 otrzymali nagrody? Panu S. L. byłoby to łatwiej zrobić, gdyż jest członkiem Związku Pisarzy?

### GŁOSY PRASY

Oto treść notatki ogłoszonej w „Gazecie Niedzielną”:

„Na dziwne zjawisko zwrócił uwagę ostatnio Jan Ostrowski na łamach „Orla Białego“. A mianowicie, że nagrody literackie, jakie są udzielane pisarzom emigracyjnym, nabrały cech złych. Ci sami dostają je po kilka razy, a inni „guzik z pętelką“.

Ludzie przyzwyczajali się do kilkunastu nazwisk i nie zdają sobie sprawy, że nie zamykają one całości literatury polskiej na emigracji. Że i tak ci wybrani zdobyli sobie finansową pozycję i należy obdarowywać nagrodami pieniężnymi raczej tych, którzy dotąd jeszcze nagrody nie dostali. Mówi się, że nagrody emigracyjne są małe. Są małe, ale i tych kilkadziesiąt funtów może poratować biednego (jakimi jest chyba większość) literata.

Najbardziej znani i popularni pisarze dlatego, że dużo piszą, a więc i więcej zarabiają od innych „są nagradzani. Nagrody biorą po kilka razy. Ich sytuacja duchowa i materialna jest coraz lepsza. A więc dajmy im nagrodę jeszcze raz!

Dobrze by było, gdyby ktoś opracował listę tych, którzy w latach 1940—1963 otrzymali na emigracji nagrody literackie, i w jakiej wysokości, żebyśmy przynajmniej wiedzieli jak sprawą wygląda. Czyli cała reszta braci pisarskiej, ta bez nagród, mogłaby być uważana za potencjalnych kandydatów.

Problem nie jest łatwy, poza tym nie

zamierzamy bynajmniej „szargać świętości“, ani wypominać komukolwiek że dostał nagrodę. Dostał, niech ma! Ale trzeba pamiętać o innych. Trzeba być sprawiedliwym wobec siebie i innych.“

### SMIECIE PROPAGANDOWE

Wydawana przez Zarząd Główny SPK Federacja Światowa w Londynie „Kombatantka Agencja Prasowa” w nr 10 z dnia 1 października br. w notatce pt.: „Reżym rusza do nowej rozróbki“ pisze m.in.:

Rozróbką emigracji poplecznicy reżymu warszawskiego trudnią się od lat. Każdy tydzień przynosi stopy śmiecia propagandowego, po największej części z central krajowych, które wypróbowaną metodą dawkuje się w formach skrzętnie zawaolowanych, najczęściej pod płaszczykiem zagadnień i spraw tak oczywistych dla każdego Polaka, jak następstwo dnia po nocy.

Widocznie jednak na tegorocznych letnich rekolekcjach dla „działaczy“ z ośrodków emigracyjnych zapadły decyzje o potrzebie większego nasilenia akcji rozróbkowej wśród społeczności naszej żyjącej poza Krajem, bo ostatnio z wielu miejsc dochodzą wiadomości o nowej fali bibuły komunistycznej, nadsyłanej do kół SPK oraz imiennie do szeregów członków.

W W. Brytanii ożywną działalność zaczyna objawiać Stowarzyszenie Odra Nysa, jak wiadomo, „stojące na straży“ naszych ziem zachodnich. O co naprawdę chodzi? Chyba nie o ziemie zachodnie, bo każdemu wiadomo, że ze świecą w rękę trzeba by szukać wśród nas Polaka, który ma choć ciekawy wątpliwośći o słuszności i nienaruszalności naszej obecnej granicy z Niemcami... Nie jest również dla nikogo tajemnicą, że Stowarzyszenie Polskich Kombatantów stale i wytrwale głosi, iż „zachodnia granica Polski na Odrze i Nysie jest granicą słuszną i uzasadnioną zarówno politycznie jak i historycznie“. Mówiliśmy o tym urbi et orbi, kiedy jeszcze nikomu się nie śniło o reżymowym tworze rozróbkowym pod nazwą Odra i Nysa.

Skoro więc uświadamianie uświadomionych jest czym nonsensem, wobec tego musimy przyjąć, iż panowie spod znaku Odra Nysa za tym patriotycznym parawanem chcą prowadzić robotę roz-

kładową w myśl wskazań swych mocodawców. Na szczęście, nie musimy nawet ostrzegać naszych kół przed nimi, bo jak wiemy, same dają im należyty odpór. Ze swej strony radzimy tym panom, by swe wysiłki skierowali we właściwą stronę i zaczęli propagować naszą obecną granicę zachodnią wśród Niemców. Na tym polu jest dużo do zrobienia.

**BILETY,  
SPROWADZANIE RODZIN  
Z POLSKI**

**ANGLOPOL  
TRAVEL**

Tel. FRE 1155  
121, Earls Court Rd., London, S.W.5

**D. S. GUNSTON, F.A.O.**

Okulary do Polski  
okulary słoneczne  
naprawy

godz. przy: 9,30 - 6,  
w soboty: 9,30 - 1 pp.

218, KENSINGTON HIGH STREET, LONDON, W.8

